

Andrzej Sulikowski
Uniwersytet Szczeciński, Szczecin

Instrukcja palenia pod kotłem CO Refleksje Kopciuszka, wiek XXI

Rano, gdy piec wygaszony, zimą jeszcze przed świtem, zejść do piwnicy, nałożyć rękawice ochronne, otworzyć drzwiczki dolne i najpierw rusztem ruchomym (dźwignia z lewej strony pieca) usunąć popiół, resztki niespalonego węgla i koks. Gdy dźwignia jest zablokowana, trzeba użyć zagiętego pogrzebacza (na ścianie przy drzwiach kotłowni). Gdy usunięte na zewnątrz niedopałki, wygarnąć pogrzebaczem resztki.

Przy końcu wymieść zmiotką pyły, popiół najpierw z drzwiczek górnych, zaś potem z rusztu paleniska – wspominając na sentencję wielkopostną: „prochem jesteś i w proch się obrócisz”. Zanieczyszczone powietrze zostaje wciągnięte do wnętrza pieca, szczególnie wówczas, gdy zwiększa się prześwit komina dźwignią regulacyjną (z tyłu kotła CO, przy ścianie).

Czynność wymaga silnej dłoni, wyćwiczonego ramienia oraz elastycznych mięśni grzbietu i nóg. U osób z natury słabszych, jak u mojej niezawodnej połowicy, obsługa pieca wywołuje stany zapalne mięśni przedramienia („łokieć tenisisty”), prawego barku, a nawet obojczyka. Rękawice ochronne zwiększają siłę dłoni, chroniąc zarazem skórę przed sadzą.

Po wyrzuceniu zawartości paleniska na zewnątrz użyć łopatkę metalową jako „spychacza”. Grubsze kawałki węgla i koks (czasem nawet nie tknięte płomieniem dnia poprzedniego), zgarnawszy w pryzmę, wrzucić do blaszanego szałlika, skąd będzie można czerpać materiał wtórny. Przepalony koks, stopiony w brunatne i szorstkie bryły, nabiera ciężaru. Trzeba używać siły w sposób roztropny, bo mięśnie bywają z rana nie rozgrzane, pomiędzy 6.00 a 7.00.

Wygarnięty żużel doskonale nadaje się do powtórnego użycia. Przy odpowiednio wysokiej temperaturze otrzymuje się z pieca sypki popiół oraz drobniotkie okruchy paliwa stałego, nadające się również do spalania. Większe, chropawe i sklezione bryłki trzeba wybrać (koniecznie w rękawicach ochronnych), rozłuc młotkiem lub siekierą, odczekać cierpliwie aż piec się rozgrzeje i wrzucić do żaru (ok. 600°-800°), przeznaczając na całkowite spopielenie. Spalą się bez śladu. Powtórny „przepał” podwyższa wydajność kaloryczną, oszczędza gotówkę wydaną na tonę koks (ok. 800 zł) i tonę węgla (ok. 720 zł).

Mączny popiół wybierać metalową łopatką, wysypując do wiader, które potem przesypuje się do taczek. Co tydzień wywozić ten doskonały nawóz do ogrodu jako zasilenie gleby albo jako wypełnienie do rowów strzeleckich w Puszczy Wkrzańskiej. Rodzaj użyźnienia organicznego, tlenki dają z wodą deszczową roztwór zasadowy (jak przy produkcji mydła). Ziemia w okolicy miasta jest zakwaszona, jak często w pobliżu ośrodków przemysłowych. W ten sposób zubożają się odczyn gleby.

Utrzymanie kotłowni w czystości jest bardzo trudne. Popiół to materiał lotny, przenosi się na podszwach i na fali nieuchronnych przeciągów. Poza tym spalaniu drewna czy węgla towarzyszy obfity dym, wydostający się po trosze z paleniska, szczególnie przy zasypywaniu nowych porcji paliwa. Kotłownia nie ma jeszcze wprawionych drzwi wewnętrznych do sąsiedniej izby, więc zapylenie i zadymienie obserwuje się także w piwnicznym korytarzu, w przyległym garażu, a nawet na schodach kuchennych.

Kto by więc chciał porządnie i na dłużej wysprzątać tę kondygnację budynku, srodze się zawiedzie już nazajutrz po higienicznym maratonie: wszędzie przenika popiół, zawiesina kurzu i pyłu osiada na półkach. Z opon samochodu najpierw ścieka śnieg z błotem na posadzkę garażu, później kałuże wysychają, lecz pozostaje piasek, proch, złogi soli kamiennej, którą posypywane są jezdnie.

Sól wydaje się mocno szkodliwa dla wszelkich roślin, szczególnie drzew przydrożnych. Mimo protestów i petycji ekologów magistrat naszego miasta - skądinąd szcycącego się zielenią - pozostaje obojętny wobec wspomnianego barbarzyństwa. Magistrat w ogóle reaguje z opóźnieniem, zajęty własnym życiem wewnętrznym, jak każda nadmiernie rozbudowana instytucja, w której urzędnicy szukają uzasadnienia swej egzystencji, wertując opasłe woluminy rozporządzeń, ustaw i komentarzy prawnych.

W czasie gołolodzi popiół doskonale nadaje się do posypywania wąskiej, bardzo przeważnie śliskiej ulicy Sielskiej, przy której zbudowano przed trzydziestu lat nasz budynek. Operację przeprowadza się z taczek, przy użyciu szerokiej łopaty do węgla, oczywiście także w rękawicach ochronnych oraz koniecznie - w ubraniu roboczym. Co dzień

przed świtem przez kilkanaście minut trwa lekcja propedeutyki do baśni o Kopciuszku.

Czynności wymiatania paleniska pod kotłem CO oraz sprzątanía posadzki są niezwykle brudzące. Pierwszym czynnikiem okazuje się popiół. Drugim pył węglowy z przyległego sąsiedku, mieszczącego zapas opału. Na spodniach i kurtce wykwitają szare plamy. Rękawice natychmiast nasycają się pyłem, także płuca palacza CO wchłaniają wiele szkodliwego prochu, dymu oraz wyziewów chemicznych (bywa przecież wśród śmiecia plastik spalający się szybko, ale z wydzieleniem mnóstwa trucizn). Wszelkie odpady plastyku zbieramy oddzielnie, wyrzucamy raz na dzień, wieczorem, do pobliskiego kontenera.

Rozpałkę w piecu CO odbywać należy w ustalonej, przez dziesiątki lat wypróbowanej kolejności. Po pierwsze, z kartonów makulatury wyciągnąć stare numery „Tygodnika Powszechnego” (duży format) po kwereudach i wycinkach badawczych lub równie dobrze palącego się „Kuriera Szczecińskiego”, „Gazety Wyborczej”, gazety osiedlowej „Moje Miasto”. Otrzymuje się ten sposób „słomiany ogień”. Niegdyś, jeszcze w Krakowie, służyła nam do tych celów „Gazeta Krakowska”, „Dziennik Polski”, „Echo Krakowa”. Pod każdym względem niezrównana była sowiecka „Prawda”, drukowana na wielkiej płachcie nędznego papieru. Zniknęła z kiosków po rozpadzie Związku Sowieckiego.

Periodyki kolorowe i lakierowane (np. „Kobieta i Życie”, „Poradnik Domowy”, „Twoje Dziecko”, „Wróżka”, biuletyny Fundacji Alexandra von Humboldta, periodyk niemiecki „Kosmos”, czasopisma amerykańskie, niemieckie i francuskie) w żadnym wypadku nie nadają się do spalania – winny być skierowane do recyklingu. Różnokolorowe farby i laminat wytwarzają bowiem mnóstwo szkodliwych substancji. Postanowiliśmy nie zatruwać (ponad potrzebę) naszego osiedla domów jednorodzinnych.

Co w podręcznych zbyt wiele, wynosimy zatem do pobliskich kontenerów z makulaturą. Ponadto w piwnicy i garażu zainstalowała się biblioteka „ogrodowa”, kilkaset woluminów, tzn. do czytania latem i jesienią, gdy możliwe jest wysiadanie pod jabłonią czy śliwą. Na świeżym powietrzu.

Nie mamy już czasu na odwiedzanie antykwariatów szczecińskich. Coraz mniej osób przyjmuje od nas darmowe upominki książkowe. Nie mają w domu miejsca, na świecie pojawiło się za dużo książek: albo się mieszka zdrowo, albo żyje w magazynie druków zwartych i rozproszonych. Młodsze pokolenie spodziewa się – co jest złudzeniem XXI stulecia – znaleźć wszystkie potrzebne informacje w internecie. Stare książki zostają wypchnięte poza horyzont codzienności.

Gdy papier z prasy zajmie się zdrowym płomieniem, należy – po drugie – dorzucać w umiarkowanych ilościach tekturę z kartonów spożywczych lub innych, unikając jednakże spalania materiałów celulozowych

powlekanych tworzywem sztucznym (emisja silnie trujących związków organicznych, dioksyn itd.).

Tekturę gromadzimy w kotłowni po zakupach hurtowych w „Makro”, „Auchan”, „Tesco” (dla naszej wciąż dobrze prosperującej firmy rodzinnej), a także przynosimy spod sąsiedniego sklepu PSS „Społem”, drogiego (bez konkurencji w promieniu 3 km), ale za to – zawsze pod ręką, niemal za płołem.

Na płonąca już tekturę rzucić – po trzecie – kilka suchych szczapek sosnowych, przygotowanych przed dwoma co najmniej tygodniami i przesuszonych w kotłowni, na rurach CO ponad kotłem. Dopiero od palącego się na podkładzie tekturowym drewna cienkiego i grubszego ogień przeskakuje na bryły drobniejszego węgla lub koksu. Na początek wsypać 1–2 szufle opału mieszanego, czyli ok. 8–10 kg. Ta porcja wystarczy na początek.

Faza rozpalania trwa ok. godziny, natomiast woda w kotle zagrzeje się do bezpośredniego użycia w ciągu ok. 2 godzin. Niczego się tu nie przyspieszy, ponieważ system centralnego ogrzewania, choć w istocie niezawodny i najtańszy – wedle obecnych cen rynkowych – ma sporą „bezwładność” termiczną i przy kilkuset litrach wody wymaga nieprzerwanego dostarczania kalorii co najmniej przez półtorej godziny.

Od razu trzeba podkreślić, że „szuflowanie” powtarzamy systematycznie przez cały dzień, mniej więcej co dwie godziny. Jak łatwo zauważyć, wymaga to niezłej kondycji fizycznej i stanowi zaprawę gimnastyczną przed nadchodzącą wiosną. Za każdym razem w celu „przeżrebania w piecu” schodzimy z pierwszego lub drugiego piętra na parter, stamtąd do piwnicy, pokonując w sumie trzy kondygnacje. Ten rodzaj gimnastyki mimowolnej acz systematycznej usprawnia narząd ruchu, poprawiając równocześnie krążenie i wzmacniając serce. W pracy intelektualnej stanowi atrakcyjny przerwany, odciążenie dla kręgosłupa i kory mózgowej.

W czasie sezonu grzewczego na osiedlu Głębokim (październik–kwiecień) łącznie przerzucić trzeba od 3 do 7 ton opału stałego, w zależności od nasilenia temperatur ujemnych: najpierw z ogrodu do sąsięku w kotłowni (3 tony w jedno popołudnie), a potem z sąsięku wprost do pieca (ok. 20–30 kg dziennie). Praca zdecydowanie za ciężka dla dzielnej A., która pod moją nieobecność przejmuje natychmiast rolę palaczki (mam na myśli wyłącznie obsługę staroświeckiego kotła CO, ogrzewającego trzy kondygnacje naszego budynku, stanowiące w sumie ok. 150 m kw.). Załadunek opału z podwórza do kotłowni jest przywilejem męskim. Ponieważ w dzielnicy naszej nie ma bezrobotnych, czynność tę wykonują osobiście co najmniej dwa razy w roku, wspominając krakowską młodość, gdy jako student dorabiałem za pośrednictwem Spółdzielni Żaczek bardzo potrzebną gotówkę dla naszej rodziny.

Ogrzewanie samym drewnem jest mniej wydajne, choć „bardziej ekologiczne”. Wymaga częstszego doglądania paleniska, mimo spalania

twardych i wysokokalorycznych polan bukowych czy dębowych. Zapasy takiego opatu znajduję w pobliskim lesie jako pozostałości wiatrołomów – wcale nierzadkich na Nizinie Szczecińskiej. Drewno opałowe można też zamówić w pobliskim leśnictwie (na metry kubiczne), ale byłoby to za łatwe. Poza tym większość gotówki pochłania węgiel i koks.

Do lasu wyjeżdżam więc taczkami wcześniej z rana, gdy powietrze pełne jest chłodnej woni nocnej. Najpierw wąską ulicą Sielską, pozabawioną chodników, wyłożoną polbrukiem przed kilkunastu laty. Gumowa opona pojedynczego koła wystukuje na spoinach cichy, jednostajny rytm, trochę podobny do terkotania wózka dziecinnego, którymi wozimy nasze wnuczęta. Spaniel Mufi towarzyszy z ochotą, szukając z nosem przy ziemi nowych zapachów. Jego czarna, szczupła sylwetka przemyka pomiędzy pniami sosen, buków i dębów. Zatacza coraz szersze kręgi. Nieoczekiwanie przystaje, rozgrzebuje łapą zeschnięte liście, aby przeczytać najnowsze listy od osiedlowej psiarni. Ostatnio korespondencja staje się ożywiona – suki mają cieczkę. Porywająca lektura nosem.

Na leśnych drózkach nie ma nikogo. Dzień wstaje powszedni, na przedwiośniu, nie dotarli tu jeszcze tradycyjni biegacze joggingowi oraz grupki osób z metalowymi kijkami, od niedawna uprawiających *north walking*. Ten rodzaj sportu słyszy się w lesie z daleka jako rytmiczne stukanie (zupełnie inne niż bębnienie dzięciołów). W prześwitach, pomiędzy sosnowymi pniami, błyszczą lekko pomarszczone jezioro Głębokie, zwane niegdyś przez Niemców „Glembock”. Nic się tutaj nie zmieniło od setek lat. Wędrowały plemiona, wojska, całe narody, lecz Puszcza Wkrzańska pozostała niezależna i prawie nienaruszona. Ludność zachodniopomorska skupiła się w miastach i wioskach, rynnowe jezioro Glembock pozostało polodowcową osobliwością, zasługującą co najwyżej na krótkie, niedzielne spacerki.

Jako archaiczny reprezentant kultury zbierackiej – starszej niż państwo, rolnictwo, a nawet państwo polskie – czuję się bardzo swojsko w ocalałych spod topora lasach. Dzięki nienaruszonej przyrodzie osiedle nasze zalicza się do najpiękniejszych na Ziemi Zachodniopomorskiej. Słyszę z daleka zgrzyt tramwaju na końcowej pętli Głębokie, a po drugiej stronie jeziora szum samochodów, jadących przez lasy do centrum, czyli do pracy. Las bowiem nie zatrzymuje nikogo, tutaj nikt się nie trudzi poza garstką robotników leśnych. Nikt prawie nie wiąże swej przyszłości z krzewami, drzewami i krajobrazem polodowcowej moreny. Wdycham głęboko czyste powietrze, dziwiąc się świeżości dnia i umysłu. Na wąskiej drodze przypominam sobie *Japońskie kwiaty* Jana Józefa Szczepańskiego – pisarz tak samo wędrował rankiem przez las, niosąc dwa wiadra źródlanej wody.

Gałęzie i konary przycinam wstępnie na miejscu znalezienia – przy użyciu odpowiednio wyostrzonej piłki ogrodniczej. Układam na taczkach tak samo, jak przed laty na wozie chłopskim, w lasach górskich nad

Dunajcem, Solą czy Skawą. Dzięki wielu miesiącom pracy w borach karpackich zyskałem nienajgorszą wprawę w drwalstwie. Odruchy pozostały. Pamięć mięśni, ścięgien. Spory zapas energii biologicznej.

Kilkadziesiąt kilogramów suszu, dobrego również na ognisko, trzeba umiejętnie – ciasno i stabilnie – ułożyć na taczkach, a wieźć tak zreźcznie, by uniknąć wywrotki. Obsługa bowiem pojazdu jednokołowego wymaga przytomności umysłu, sterowania całym ciałem, sprawnych mięśni (przy ogólnym zrównoważeniu organizmu).

Ulicą Pogodną przemykają samochody do miasta, prostopadła Sielska pozostaje traktem pieszym, czyli niemal bezludnym. Podobnie jak w USA czy Niemczech, mało kto w dzień powszedni chodzi tutaj pieszo. Na skrzyżowaniu zagrożone bywa życie zwierząt, dlatego spaniel Mufi zostaje surowo upomniany, aby nie wyrwał się do przodu. W dzielnicy naszej mieszka tzw. „lepsze towarzystwo”, które osiedliło się w poniemieckich domach jednorodzinnych zaraz po wojnie, zakorzeniło skutecznie i na długie dziesiątki lat. Teraz, w 65 roku po odejściu budowniczych Głębokiego, dorasta tutaj trzecie pokolenie Polaków. Niemcy zaglądają bardzo rzadko, nie żywiąc żadnych roszczeń majątkowych. Dawni gospodarze osiedla wymierają z wolna na Zachodzie. Stanowimy osobliwą wspólnotę osób dobrze wykształconych i utytułowanych (prawie wszyscy z tysiąca dwustu mieszkańców należą do inteligencji, połowa ma doktoraty, a z profesorów można by utworzyć samodzielny ośrodek badawczy).

Przywożę zatem urobek leśny do ogrodu. Z góry taczki toczą się lekko po ulicy Sielskiej, wystukując na jezdni przyspieszony rytm. Pod obciążeniem opona taczek szumi jednostajnie, jak na autostradzie w Pensylwanii, gdy z Filadelfii jechaliśmy przez cały niemal kontynent amerykański – aż do Teksasu. Kilka dni w słońcu, na prerii, oglądanej tylko z kabiny samochodu. Tam ciało pozostawało w bezruchu przez cały dzień, ręce na kierownicy, montonia ruchu mechanicznego; tutaj wdycham poranne, czyste powietrze przypominające zapachy Beskidu Wysokiego.

Otwiera się żelazna brama i taczki zjeżdżają z pochyłości wprost pod zgrabne drzewo owocowe. Gałęzie tnę najpierw piłą elektryczną na poręczne klocki, potem rąbię na drobniejsze polana, korzystając ze specjalnego stanowiska. Pod czereśnią wkopałem pozostawiony przez poprzedniego właściciela długi i szeroki pień świerkowy, wystarczający do celów drwalskich. Służy już czwarty sezon.

Poranny urobek układa się na rurach CO pod sufitem kotłowni, rezerwy dalsze pod gankiem lub pod głównymi schodami. Tam zapasy drewna gromadzimy z wolna przez wiosnę i lato, aż do późnej jesieni, zawsze mając dzięki temu w odwodzie darmowe paliwo na chłodne wieczory jesienne. W razie odpływu gotówki na splaty kredytu hipotecznego lub konieczne inwestycje, susz drewniany staje się opałem niezawodnym,

wymagającym wprowadzić przygotowań, lecz dającym równocześnie doskonałą kondycję ogólną.

Rękę prawą zaprawiałem do siekiery od lat młodości, rąbiąc pnia-ki sosnowe najpierw w Osielcu, „pod blache”, potem w leśniczówce na Matlacze, ponad wsią Radziechowy (z widokiem na odległy Żywiec) – też na palenisko kuchenne, ale i na zapas zimowy, do drewni. Dopiero jednak w Bukownie Tatrzańskiej, mieszkając na Wierchu Rusińskim, poznałem najlepszych rębaczy okolicy, prawdziwych wirtuozów topora, krzeszących z łatwością tam, gdzie ja się wysilałem, pocąc obficie. „Pnioki” dzielili jakby od niechcienia, jednym mocnym uderzeniem przepoławiając masywny krąg drewna. Później miarkowanymi ruchami „scypoli” drewniane półkole, jakby były z plasteliny, a nie opornego, sękatego nierządka surowca.

Tak więc uczniem byłem w dolinie Skawy, w osieleckiej chałupie, terminowałem później w samotni radziechowskiej, a czeladnikiem stałem się dopiero dzięki „bukowianom”, co nie znaczy, że tylko dzięki mężczyznom (choć ci byli mistrzami „ciesiółki”), bo i nasza gaździna Helena – jak często wśród tamtejszych góralek – miała nadzwyczajne wyczucie topora, szykując podpałkę do obiadu czy na wieczorne mycie.

Piec nasz ma drzwiczki dolne, zamykane w czasie palenia, opatrzone klapką żeliwną, sterującą dopływem powietrza. Unikać trzeba palenia zbyt intensywnego, bo sprawność kotła jest niewysoka (zapewne 50-60%) i ciepło w przypadku otwarcia dopływu powietrza ulatnia się przewodem kominowym do atmosfery. Pamiętamy o tym, że ogrzewanie węglem i koksem zatruwa atmosferę naszego leśnego osiedla, ale gazociągu nie przedłużono jeszcze o brakujące 10 m. Stąd nie możemy korzystać z nowoczesnych kotłów sterowanych elektronicznie, mających sprawność rzędu 90-103% (nawet!).

Tkwimy jeszcze, jak widać, w technologii właściwie XIX-wiecznej, nieco udoskonalonej w połowie XX stulecia, ale bazującej na najprostszymi rozwiązaniach, bez zastosowania prądu. Ma to swoje dobre strony. W czasie awarii sieci wysokiego napięcia – co zdarza się w Szczecinie często z powodu wiosennych śnieżyc i katastrofalnych okiści – nasz komunistyczny produkt przemysłu stalowego z lat osiemdziesiątych sprawuje się doskonale, podczas gdy nowoczesne, komputerowo sterowane piece zamożnych sąsiadów stają martwe, pozbawione zasilania dla urządzeń sterowniczych, a więc od razu sparaliżowane. Sąsiedzi ogrzewają się wówczas po anglosasku, uruchamiając kominki.

A zatem drzwiczki napowietrzające uchylić trzeba do połowy, podobnie jak szyber komina wylotowego. Kiedy zrobię wspomniane cztery kroki w rozpalaniu (gazety – tektura i papier – drewno – drobny węgiel i koks), mam wreszcie czas, aby odczyścić naftą tabliczkę firmową na froncie masywnego urządzenia.

Spod brązowego „werniksu” – sadzy, spalenizny i tłustego osadu – za każdym potarciem gałganka nawilżonego naftą wyłania się napis całkiem jeszcze czytelny, na aluminiowej tabliczce z dokładnie podanym adresem: „Zakłady Wytwarzania Metalowych, 33-110 Tczew, ul. Dzierżyńskiego 32”. Rok produkcji: 1981. Mija więc niemal trzydziestolecie bezawaryjnej pracy. Czytam dalej, zliczając litery: „Kocioł Stalowy Wodny «Tezam», Typ T-15A” o mocy znamionowej 17,5 kW. Ciężar: 185 kg. Przypominam sobie siostrę Feliksa Dzierżyńskiego, zwanego „katem Rosji Sowieckiej”, która to pani w Polsce Ludowej – już po śmierci brata – nadal modliła się o jego zbawienie i dawała na msze w Klasztorze Sióstr Wizytek, prosząc o modlitwy szczególnie ks. Bronka Bozowskiego, kapłana od spraw nierozwiązywalnych.

Skoro się rozpałiło, można zamknąć kotłownię i wracać do siebie, na górę, z rozległym widokiem na pobliskie domy i wszechobecny las. Na poddasze nie docierają hałasy z ulicy. Czasem szumi jezdnia do Polic. Cisza matecznika. Przeglądam pocztę z ostatnich dni. Koperty przeznaczam na spalenie, podobnie broszury reklamowe, nadbitki, wykorzystane czasopisma. Co zostanie po nas? Po naszych koncepcjach, wywodach, artykułach? Garstka popiołów użyźniająca gród.